

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

23

(Ciąg dalszy).

Rozdział V.

Błyskawicznie przeniknęło Lupina wrażenie, pewność, że z bajeczną zręcznością wciągnięto go w zasadzkę.

Wszystko było z góry obmyślane, ułożone — tak oddalenie jego ludzi, usunięcie czy też zdrada służby, jak i obecność jego w domu pani Kesselbach.

I udało się wszystko po myśli nieprzyjaciela, dzięki cudownie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, gdyż ostatecznie mógł tu nadejść, zanim sfalszowany telegram usunął jego ludzi... Ale w takim razie byłaby to bitwa bandy Altenheima z jego bandą. I Lupin, przypominając sobie postępowanie Malreicha, morderstwa Altenheima, Gertrudy, otrucie obłąkanej w Veldenz — Lupin zadawał sobie pytanie, czy fortel ten skierowany był jedynie przeciwko niemu i czy Malreich nie przewidywał prawdopodobieństwa ogólnej rzezi i usunięcia niewygodnych mu już teraz współników?

Była to raczej intuicja, myśl przelotna, która mu przeszła przez głowę. Teraz należało działać. Należało bronić Dolores, o której porwanie, bądź cobądź, widocznie tu chodziło.

Odchylił okno i wycelował rewolwer. Wystrzał... alarm w okolicy... a bandyci się rozprószyli...

— Otóż nie... — szepnął. — Nie, powiedzą o mnie, że unikałem walki. Nazbyt to piękna sposobność... A zresztą, kto wie, czyby oni uciekli!... Są liczebnie silni i nic sobie nie robią z sąsiadów.

Wrócił do pokoju Dolores. Na dole rozległ się hałas. Ponieważ hałas rozlegał się już na schodach, Lupin zamknął drzwi na klucz.

Dolores płakała kurczowo, miotając się spazmatycznie.

— Niech pani zbierze siły — błagał Lupin — jesteśmy na pierwszym piętrze. Pomogę pani spuścić się oknem... Zrobię sznur z prześcieradeł...

— Nie, nie, niech mnie pan nie opuszcza... boję się... nie mam sił... Zabijają mnie... Niech mnie pan broni...

Wziął ją na ręce i przeniósł ją do drugiego pokoju.

— Niech się pani stąd nie rusza i niech się pani uspokoi — szepnął, pochylając się nad nią. Przysięgam pani, że dopóki ja żyję, żaden z tych ludzi nie dotknie pani.

Wstrząśnięto drzwiami pierwszego pokoju. Dolores, czepiając się go, krzyknęła:

— Ach to oni!... to oni!... Zabijają pana... jesteś pan sam...

— Nie jestem sam... — odpowiedział gorącym szeptem — pani jest... pani tu, przy mnie...

Chciał się uwolnić. Chwycił głowę jego w obydwie ręce i topiąc w oczach jego głębokie spojrzenie, szepnął:

— Dokąd pan idzie? Co pan chce zrobić? Nie... nie umieraj pan... ja nie chcę... żyć trzeba... trzeba...

Szeptala jeszcze jakieś słowa, których on nie dosłyszał i które jak gdyby tłumila na ustach, wrzeszcząc wyczerpana do ostatka, opadła bez świadomości.

Nachylił się nad nią i patrzył na nią przez chwilę. I lekkim pocałunkiem musnął jej włosy.

A potem wrócił do drugiego pokoju, zamknął starannie drzwi między obu pokojami i zapalił elektryczność. Przedtem jeszcze ustawił parawan w ten sposób, by zasłonić kanapę, na której przed chwilą pani Kesselbach leżała, a na kanapę tę rzucił kilka sukien i kołdrę.

Zdawało się, że drzwi się zerwą pod naporem szturmujących.

— Jestem! jestem! Już idę! — krzyknął Lupin. — Jesteście gotowi? Dalej naprzód, proszę! Kto z panów pierwszy?

Szybko otworzył drzwi kluczem i odciągnął zasuwkę.

Krzyki, groźby, pomruki nienawiści w obramieniu otwartych drzwi...

A jednak nikt się wysunąć nie ośmielał. Zanim się rzucą na Lupina, wahali się, zdjęci trwożnym niepokojem...

On to przewidywał.

Stojąc w samym środku pokoju, w pełnym świetle, z wyciągniętą ręką, trzymał w palcach plik banknotów, które dzielił, licząc po jednemu, na siedm równych części.

— Trzy tysiące franków premii — oświadczył spokojnie — dla każdego, jeżeli Lupina wyprawicie na tamten świat. Wszak prawda, tyle wam obiecano? Otóż tu jest drugie tyle!

Porozkładał banknoty paczkami na stole.

— Bajki arabskie! — ryknął Rupiecierz — on tylko chce zyskać na czasie! Hejże na niego!

Zamierzył się, ale towarzysze go wstrzymali.

Lupin zaś ciągnął dalej:

— Samo się zresztą rozumie, że to skądinąd nie zmienię celu waszej wyprawy. Przyszlście tu najpierw, żeby porwać panią Kesselbach, a przytem ażeby się obłowić jej klejnotami. Otóż uważałbym się za ostatniego nędznika, gdybym wam w tym podwójnym zamiarze miał przeszkadzać.

— Cóż to? Do czego on zmierza? — mruknął Rupiecierz, słuchając pomimowoli.

— Ach, Rupiecierz, zaczyna cię to interesować? Wejdźcie tu, proszę... czyżbyście się bali? Sam przecież jestem!

Wsunęli się do pokoju, zaciekawieni, ale nieufni.

— Zamknij drzwi, Rupiecierz, tak nam będzie milej. Dziękuję. Ach, widzę, nawiasem, że tysiączki zniknęły! To znaczy, że się zgadzacie. Jak to jednak łatwo o porozumienie pomiędzy uczciwymi ludźmi!

— No i cóż dalej?

— Co dalej? No, skoro już jesteśmy współnikami...

— Jakto współnikami?...

— To dobre! przecież przyjęliście pieniądze odemnie! A więc też idziemy razem i razem też najpierw porwamy młodą osobę, a potem bierzemy klejnoty do podziału.

— Ciebie nam nie potrzeba! — roześmiał się Rupiecierz.

— Owszem, mój miły!

— Do czego?

— Do tego, że wy nie wiecie, gdzie jest kryjówka z klejnotami, a ja o tem wiem.

— Znajdziemy ją sami!

— Jutro, ale nie dziś.

— A więc gadaj. Czego chcesz?

— Chcę należeć do równego działu biżuteryi wdowy.

— A czemuż to wszystkiego nie wzięłeś, skoro wiesz, gdzie jest kryjówka?

— Bo sam jej otworzyć nie mogę. Jest tam jakiś sekret, którego ja nie znam. A że tu jesteście, więc chcę was użyć.

Rupiecierz wahał się.

— Dzielić się... dzielić się... Będzie tam kilka kamyczków i może trochę miedzi.

— Głupiś! To co jest, warte z milion, a może i więcej!

Bandyci zadrżeli, takie to na nich zrobiło wrażenie.

— No niech już będzie — mruknął Rupiecierz — ale jeżeli tymczasem Kesselbachowa czmychnie? Ona jest w drugim pokoju, nieprawdaż?

— Nie, ona jest tu!

Lupin na chwilę uchylił parawan i ukazał kupę sukien i kołdr, którą ułożył na sofie.

— Tu leży zemdlona. Ale ja jej nie wydaję, dopóki podziału nie dokończymy.

— A jednak...

— Jak wam się podoba. To nic, że jestem sam. Wy wiecie, com ja wart. A zatem...

Ludzie zaczęli się naradzać.

— Gdzie jest kryjówka? — zapytał Rupiecierz.

— Pod paleniskiem kominka. Ale trzeba najpierw podnieść cały kominek, lustro, marmurowe gzymsy i wszystko to naraz, zdaje mi się. Ciężka robota!

— Ba! siły nam nie brak. Zaraz zobaczysz. Za pięć minut...

Wydał rozkazy i zaraz też towarzysze jego zabrali się do dzieła z werwą i z wzorową karnością. Dwóch, stojąc na krzesłach, starało się unieść lustro. Czterech zabrało się do samego kominka. Rupiecierz klęcząc, czuwał nad paleniskiem i komenderował.

— Dalej chłopcy... razem moi drodzy... Uważać... raz, dwa... O... już się rusza...

Nieruchomy poza nimi, z rękoma w kieszeniach, Lupin przyglądał im się z rozczerwieniem, a zarazem pysznił się w duchu tym dowodem siły swej, wyższości i władzy nad drugimi. Jakżeż oni mogli choć przez chwilę uwierzyć w tę niestworzoną historię i oddać mu w ręce wszelkie szanse wygranej?

Dobyl z kieszeni dwa rewolwery, wyciągnął obie ręce i spokojnie wziął na cel dwóch pierwszych, których postanowił położyć.

Padły dwa strzały i zaraz potem następne dwa.

Podniósł się ryk... Czterech ludzi padło na ziemię.

— Czterech od siedmiu, pozostaje trzech — przemówił Lupin. — Czy mam dalej strzelać?

Nie spuścił rąk, lecz trzymał je wyciągnięte, nie spuszczać z celu Rupiecierza i dwóch jego towarzyszy.

— Niegodziwiec! — mruknął Rupiecierz, ręką w kieszeni szukając broni.

— W górę ręce! — krzyknął Lupin — inaczej strzelam... Dobrze, a teraz, wy dwaj, rozbiorć go natychmiast, bo jeżeli nie...

Obaj bandyci, wystraszeni, unieruchomili wodza swego.

— Zwiążcie go!... zwiążcie do dyabła!... Co wam to szkodzi? Gdy sobie pójdę, będziecie wszyscy wolni... No już? Naprzód ręce, waszymi paskami... a teraz nogi... razem... Prędszej!

Rozbrojony, zwyciężony, już się Rupiecierz nie bronil. Podczas, gdy go towarzysze wiązali, Lupin nachylił się nad nimi i dwa potężne ciosy rękojeścią rewolweru wymierzył im w głowę. Padli ogłuszeni.

— Ot, dzielnie się spisałem — odetchnął Lupin — a teraz trzeba się przekonać, co się dzieje z tą biedaczką!

Podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i stwożył je.

— Ach! — krzyknął zdumiony i pełen wzburzenia.

Pokój był pusty.

Zbliżył się do okna i ujrzał drabinę opartą o balkon, drabinę, stalową, składaną.

— Porwana... porwana... — szepnął. Czyżby Ludwik Malreich? Ach, niegodziwiec...

II.

Lupin zastanowił się chwilę i rozważywszy, że pani Kesselbach najprawdopodobniej nie grozi niebezpieczeństwo, wybiegł na ulicę i sprowadził dwa auto taksametry. Zapewniwszy sobie dobrym napiewkiem pomoc obu woźniców, zapakował siedmiu bandytów do obu wehikułów, sam skoczył na kozioł i kazał jechać do więzienia Sûreté.

Gdy stanęli przed Pałacem Sprawiedliwości i przed więzieniem, Lupin wyskoczył i prosto podążył do centralnego biura.

Dwóch inspektorów dyżurowało tam stale.

— Przywożę panom grubą zwierzynę — rzekł wchodząc Lupin — czy zastałem pana Webera?

— Pan Weber jest w swoim gabinecie. Czy mamy go uprzedzić?

— Zaraz. Spieszę się bardzo. Zostawię słówko do pana Webera.

Siadł przed stołem i napisał:

„Kochany panie Weber!

„Przywożę panu siedmiu bandytów, którzy składali szajkę Altenheima. To są ci, co zamordowali Gourel'a i wielu innych i mnie również pod imieniem pana Lenormanda.

„Pozostaje już tylko ich wódz. Zabieram się do zaaraszowania go natychmiast. Niech pan przybywa w ślad za mną. On mieszka w Neuilly, ulica Delaizement i przybrał nazwisko Leona Massier.

„Szczere pozdrowienia łączy

Arsen Lupin

szef bezpieczeństwa“.

Pomimo całej swojej zimnej krwi i panowania nad sobą, Lupin nie mógł przezwyciężyć ogarniającego go wzruszenia. Czy odnajdzie Dolores Kesselbach? Czy Ludwik Malreich zaprowadził ją do siebie, czy do szopy Rupiecierza?

Lupin Rupiecierzowi zabrał klucz od tej szopy, tak, że łatwo mu przyszło dostać się do niej.

Zapalił latarnię i rozejrzał się. Nieco na uboczu, na kanapie, o której mówił Rupiecierz, dostrzegł czarną postać.

Otulona kołdrą, z zakneblowanymi ustami leżała Dolores...

Podążył ją ratować...

— Ach pan tu... pan jest... — szeptała. — Czy nic złego nie zrobili panu?

I zaraz też, wskazując tylną ścianę magazynu, dodała:

— Tam... tam... tam poszedł... słyszałam... pewna jestem... Trzeba tam iść... proszę pana!...

— O panią mi przedewszystkiem idzie...

— Nie... on przedewszystkiem... idź pan... proszę... zabij go pan...

Strach tym razem, zamiast ją pogłębiać, sił jej niezwykłych dodawał i powtarzała, pragnąc gorącko wydać strasznego wroga, który ją dręczył: